Danuta Węgiel: *Stopklatka Obecności* czyli Obiektyw & Obiekt, relacja szczególnej czułości

Wokół obrazu fotograficznego osnuto nową definicję informacji. Fotografia - to cieniutka warstwa przestrzeni i czasu. W świecie rządzonym przez obraz fotograficzny wszelkie granice ("ramki") wydają się dowolne. Wszystko da się rozdzielić, przeciąć, odłączyć od czegoś innego: wystarczy odmiennie skadrować obraz. I vice versa: wszystko można ze sobą połączyć. (Susan Sontag, "O fotografii")

Czwartek, 31 stycznia 2019. Z powodu rozkopanych torów na odcinku Bronowice Małe - Teatr Bagatela dojazd z Bronowic do Nowej Huty, zwykle długi, teraz jest dodatkowo utrudniony. Żeby więc na czas - godzinę 18 - dostać się na Plac Centralny im. Ronalda Reagana (nie mogę się powstrzymać od wspomnienia tego szczególnego oksymoronu), tak czy tak musiałam wyjść z domu znacznie wcześniej i jechać naokoło. W tej sytuacji wyszłam jeszcze trochę wcześniej i wsiąkłam w księgarni na Podwalu, jednej z ostatnich w Krakowie, której (mi) nie zlikwidowano. Nabywszy tam kilka zaległych tytułów i obarczywszy się kilkoma dodatkowymi kilogramami ruszyłam z silną grupą równie jak ja zdeterminowanych podróżników pełniuteńkim pospiesznym 502 na Hutę. No, ekspedycja. Ale jak ekspedycja, to i odkrycia. Wrócę jeszcze do tego, nie pisałabym, że zawinęłam do księgarni, gdyby to nie było istotne.

W Nowohuckim Centrum Kultury szykuje się wenisaż fotografii Danuty Węgiel i na niego zdążałam. Bohaterkę wydarzenia poznałam jakiś czas temu na przyjęciu u przyjaciółki Joli Kozioł, która z innej strony miasta też zdąża na wystawę. I też z utrudnieniami z powodu jakichś innych drogowych budów. Jak się okazało, mimo przeszkód, zewsząd przybywają tłumy, wśród nich trochę bliższych i dalszych znajomych, wielu dziennikarzy, fotografów... Nic dziwnego, Danuta Węgiel już w 1993 roku rozpoczęła swoją fotograficzną drogę współpracą z "Tygodnikiem Powszechnym". Jej fotografie ukazują się też od lat w publikacjach Znak-u i Wydawnictwa Literackiego, a ostatnio także nałamach miesięcznika "Kraków". Jest fotografką znaną i uznaną w środowisku twórców pism i książek i, oczywiście, czytelników.

Wystawa to trzydzieści dwie fotografie, czarno-białe portrety głównie ludzi kultury, ale nie tylko, głównie związanych z Krakowem, ale też nie tylko. Janina Ochojska, założycielka Polskiej Akcji Humanitarnej wyłamuje się jako, fakt, związana z Krakowem, ale drugi fakt, działaczka społeczna, organizatorka pomocy humanitarnej (w Polsce i na świecie). Na zdjęciu z roku 2010 jest sama - fotografka w domyśle - w jakiejś pustej krakowskiej kawiarni czy knajpce w stylu "przypadkowe-meble-starocie-z-odzysku" i bawi się drewnianymi pajacykami - powołana przez PAH ponad 20 lat temu akcja "Pajacyk" dba o dożywianie dzieci w polskich szkołach. Widoczne są oparte o krzesło kule, o których się zwykle porusza. Jest to osoba pod każdym względem wyjątkowa a jej dokonania wielkie.

Fotografie powstały przeważnie po roku 2000, ale i tu są wyjątki: Jerzy Turowicz uśmiecha się do nas z roku 1996 znad jakiegoś tekstu, który czyta z ołówkiem w dłoni, jest w redakcji TP. Bo gdzieżby indziej? W tle regały z książkami, książki tłoczą się także na parapecie okna i na biurku, co za oknem, nie widać, ale to jak nic ulica Wiślna... Myślałby kto! To prywatny gabinet redaktora i ulica za oknem to ulica Lenartowicza, gdzie mieszkał, dowiaduję się od samej pani fotograf. Nic, że pan redaktor ubrany jest wyjściowo, jakby wyszedł prosto od krawca (tak, tak, jeszcze do niedawna człowiek z jego pozycją miał swojego krawca, szewca, kapelusznika, czapnika... więc niewykluczone, że i on miał: biała koszula, krawat, sweter, elegancka jasna w ciemne prążki marynarka), jak

praca, to w pełnym rynsztunku. Uśmiecha się przy tym dobrotliwie, ale ołówek w jego garści sterczy groźnie, dyscyplina, pracowitość, rzetelność i żadnej pobłażliwości, ołówek nie wygląda na rekwizyt, to ołówek pracujący, odpowiedzialny. Okulary? Najwyraźniej poza kadrem.

A tu Stanisław Lem, bezkompromisowy felietonista TP - i czas przesunął się do roku 1997. Pisarz i myśliciel minę ma, jak to on, sceptyczną, patrzy zza okularów wprost w obiektyw, oczy szeroko otwarte, wnikliwe, widzą czego inni nie widzą... Nie ma dobrych prognoz na zbliżające się tysiąclecie, co z tego, że Kosmos w jego tle rozszerza się w nieskończoność, Ziemia się nie powiększa, a ludzi coraz więcej, czyni to przyszłość coraz bardziej nieprzewidywalną, coraz większa ciżba, za dużo niewiadomych. Pisarz lubił wygodne swetry i taki ma na sobie, pod nim biała koszula, bez krawata, rzadko dawał się wcisnąć w garnitur i zacisnąć krawat na szyi, za to włosy świeżo przycięte - w tym okresie zwykle hodował sobie nad nobliwą łysiną rozwichrzony czubek z resztek włosów, co dawało efekt kosmity z antenką. Jego portret podrasowany zdjęciem nocnego nieba - jakieś mgławice, galaktyki, ujęte, jak się domyślam, teleskopem Hubble'a - posłużył za egzemplarz pokazowy na zaproszeniu na wystawę: "DANUTY WĘGIEL **STOPKLATKA OBECNOŚCI**".

Tak, ludzie na fotografiach są na zawsze obecni. Tak jak wtedy, gdy znaleźli się w polu widzenia obiektywu - i oka fotografki - i migawka przez ułamek czasu otworzyła się, by, jeśli była to jeszcze technologia analogowa, na światłoczułej błonie zarejestrowały się różnice w natężeniu światła odbitego od nich, czyli obiektów do sfotografowania. Potem wywołanie filmu w ciemni i oto są, naprawdę oni, naprawdę przez chwilę musieli tam być, tak wyglądać, takie mieć miny, nawet jeśli na zdjęciach można wykonać szereg różnych manipulacji w trakcie ich obróbki. A już zwłaszcza w erze fotografii cyfrowej. Być może nie myślimy już, jaka to magia, takie zdjęcie, czas mija, a obraz utrwalony na fotografii zostaje, na fotografii czas stoi. Oglądanie fotografii to podróże w czasie. Może rzadko o tym myślimy, ale tak właśnie jest, miliardy fotografii wykonane od chwili wynalazku tej technologii "rysowania światłem" (gr. φως, phōs, D. phōtós - światło; gráphō - piszę, graphein - rysować, pisać; fotografia - rysowanie za pomocą światła) to świat zatrzymywany w nakładających się na siebie ułamkach czasu. Jeśli byłaby to sekwencja przesuwających się klatek odpowiednio szybko migająca przed oczami, to mielibyśmy do czynienia z kolejnym epokowym wynalazkiem, filmem.

A przecież nie minęło jeszcze nawet 200 lat, odkąd udało się zrobić pierwszą w świecie trwałą fotografię i był to wielki wyczyn. W roku zaledwie 1826. Cała przeszłość przed tym rokiem nie została ani raz sfotografowana. Trudno to sobie dziś wyobrazić, gdy zewsząd trwa nieprzerwany zalew fotografii, ale tak było. Nawet zmarły w 1821 roku Napoleon nie zdołał się załapać. Portret namalowany, narysowany czy wygrawerowany przez artystę, to zupełnie, ale to zupełnie coś innego. Portretowany może być na obrazie jak żywy, ale nie jest obecny, to nie jest on zatrzymany w czasie, to jego mniej czy bardziej udany artystyczny wizerunek, a może powstać i 300 lat po śmierci delikwenta. Czy więc fotografia jest dziełem sztuki? W sensie ścisłym, nie. W sensie rozmytym, tak. Zależy to od bardzo wielu czynników, ale ponad wszystko od tego, kto fotografuje. To jego oko, nie oko kamery fotografującej, decyduje o tym, czy zdjęcie trafi do przegródki "sztuka", czy "zwykła odbitka". Pomijając różne techniczne myki, o tym, czy fotografia jest godna półki wyższej i miana sztuki decyduje spojrzenie fotografującego, a ono ściśle skorelowane jest z mózgiem, podobnie jak ręka artysty malarza, czy pianisty *via* ucho. Przypadki typu: małpa nacisnęła guzik i zrobiło się świetne zdjęcie (jest taki znany przypadek) pomijam.

Jednak w czasach, gdy każdy może mieć za psie pieniądze sprytny aparacik wielkości pudełka od papierosów i cwykać, cwykać, cwykać, a wszystko co trzeba nastawia się samo, sprawa się pokomplikowała. Biedziłam i ja się nad tym zagadnieniem, jako że zajmuję się fotografią na różne sposoby: z jednej i drugiej strony obiektywu, wśród publiczności zdecydowany wzrokowiec, tudzież nieskończony historyk sztuki, za to skończony... no, wszystko

jedno jaki, ważne, że krytyk. Aż któregoś razu mnie olśniło. Z fotografowaniem jest jak z gotowaniem! Praktycznie nie ma takiego człowieka, który by nie zdołał czegoś ugotować. A jednak dobrych kucharzy jest stosunkowo mało, a już prawdziwych artystów sztuki kulinarnej jeszcze mniej. Czyli wszyscy mogą być, nie każdy jest mistrzem. Poza tym ważny jest produkt wyjściowy (wie to każdy kibic "Kuchennych rewolucji"). Za to jeśli produkt jest wykwintny i kucharz zdolny, musi smakować. Tak właśnie jest z portretami Danuty Węgiel, że dojdę wreszcie do sedna: jeśli przejrzeć kartę-katalog, to palce lizać, produkt wyśmienity przyrządzony prosto, ale z jakim wyczuciem. *Entrée:* Lem w gwiezdnym *garni*.

A jeśli chodzi o fotografie z modelem, to Susan Sontag w klasycznym już eseju "O fotografii" (1977, pol. 1986) twierdzi, że "*w każdym użyciu aparatu fotograficznego drzemie agresja*". Wyprowadziła to stąd, że pierwsi fotografowani ludzie często zwyczajnie bali się fotografowania, niektórzy posuwali się wręcz do tego, że uważali fotografię za złodziejkę duszy a fotografa za pomocnika diabła, szarlatana. Trochę trudno się dziwić, jeśli wspomnieć, jak wyglądał przedpotopowy aparat fotograficzny, tajemnicza machina, tajemnicze zabiegi i ten oślepiający błysk połączony z wystrzałem lampy oświetlającej obiekt. Obiekt miał prawo się przerazić. Do dziś o obfotografowaniu kogoś (jeśli tłumnie, to zazwyczaj sławnego) mówimy, że znalazł się w ogniu lamp błyskowych. Faktycznie wycelowany na obiekt obiektyw ma coś z broni palnej. Ten błysk, ten huk, ten trzask, nie przypadkiem mówimy "ustrzelić kogoś", a im bardziej ktoś znany, tym cenniejsze trofeum, wiedzą coś o tym agresywni *paparazzi*.

Ale w fotografii ważna jest też czułość, o czym z prawdziwie nostalgiczną czułością pisze w książce "Na początku był negatyw" (1996) Agnieszka Osiecka, poetka oraz pasjonatka fotografii, gdyby ktoś nie wiedział. Chodzi o czułość na światło filmu fotograficznego. Dziś, w czasach fotografii cyfrowej, negatyw, odczynniki chemiczne, ciemnia, to relikty lub pojęcia użytku specjalnego. Do niedawna wywoływanie fotografii to dopiero były czary-mary. W ciemni przy świetle ciemnoczerwonym na papierze fotograficznym skąpanym w przezroczystym dziwnie pachnącym płynie w prostokątnej kuwecie wyłaniał się zaklęty OBRAZ rzeczywistości, twarz, krajobraz, przedmiot. Zwłaszcza ukazująca się z niebytu twarz, to prawdziwie alchemiczne przeżycie, człowiek wyłaniający się z niczego, intymność w ciemni. A intymność to czułość. Między fotografem a fotografującym, a już zwłaszcza, gdy sesja jest umówiona, celebrowana, rodzi się szczególna więź. Oto fotografka i poeta. Poeta cierpliwie poddaje się oglądowi, pozwala ustawiać, daje się może nawet dotknąć, przesunąć... Może biernie, a może czynnie, sam się reżyseruje, współpracuje...

Jak wyglądały spotkania Danuty stawiającej się z aparatem fotograficznym - i modeli do obfotografowania? Zdjęcie jest wycinkiem rzeczywistości, która cały czas się dookoła dzieje, płynie czas. I nagle klik, dzianie się zostaje zatrzymane, czas staje. Publikowałam niedawno na fejsbuku zdjęcie Jacka Londona, Jack London wyjmuje córce Joan drzazgę z palca, jest to jakaś sekunda z ich życia w roku 1902. Jack London nie żyje już ho, ho i trochę, jego córka też już od dawna zasila armię duchów, a tu on jej ciągle wyjmuje tę drzazgę z palca. On skupiony, ona ufna. Wokół kwitnące bujnie kalifornijskie wieczne lato. Lubię patrząc na fotografię wyobrażać sobie resztę świata wokół, ludzi i ich aktualne żywotne sprawy, głosy, zapachy, zwierzęta, a nawet myśli, uczucia... świat niewykraczający zbyt daleko w nieznaną im przecież przyszłość, którą ja ze swojej perspektywy znam. London był lub będzie gazeciarzem, trampem, kłusownikiem, marynarzem, poszukiwaczem złota, reporterem, korespondentem wojennym, no, i, oczywiście, pisarzem. W dwóch wierszach opisałam ten mój sposób wczuwania się w fotografię: "Fotografia Szymborskich" - Wisława Szymborska, gdy była jeszcze małą Ichną, z mamą, siostrą i tatą idą sobie jakby nigdy nic ulicą, a dzieje się to na pewno przed 9 września 1936, bo w tym dniu skończyło się życie pana Wincentego Szymborskiego, oraz "Gorączka przedświąteczna" - Kraków, 21.12.1937, 1. wystawa szopek (ojciec Ichny już nie żył).

Tak, fotografia to magia, wycinek istniejącego jak najbardziej rzeczywistego świata zatrzymany w czasie, w ułamku sekundy, w sekundzie, kilku sekundach, jak żywa mucha zatopiona przed erami w bursztynie. Ile sekund ma godzina? 60 x 60 = 3600. Doba to 3600 sekund razy 24 godzin, rok to 3600 x 24 x 365, lub 366, jeśli to rok przestępny. Zawrót głowy. A jednak mamy od całkiem niedawna możliwość szatkowania płynnej czasoprzestrzeni na statyczne klatki, klateczki... Może już nie czujemy tej magii tak, jak musieli to czuć pierwsi twórcy i odbiorcy fotografii, ale wystarczy sobie wyobrazić, że nagle mamy walizkę zdjęć z czasów Mieszka I, ależ by to było szaleństwo. O ileż większe, niż odkrycie stu tysięcy zdjęć Vivian Maier, a przecież i to jest niesamowitą podróżą w przestrzeni i czasie, bezcenne znalezisko. A ponieważ wyobraźnia ludzka nie zna granic, czemuż nie wyobrazić sobie, że kiedyś człowiek zajrzy jakimś niesamowitym obiektywem będącym częścią jakiejś niesamowitej technologii w dowolnie wybrany czas przeszły dokonany w dowolnym realnym miejscu? Tak jak iście czarodziejskim teleskopem zaglądamy w głąb Wszechświata i wstecz Wszechczasu w tle fotografii Lema, choć możliwe to jest dopiero od 1990 roku, czyli całkiem, całkiem niedawno?

Pooglądałam (w tłumie, jako się rzekło) galerię portretów zarejestrowanych aparatem fotograficznym Danuty Węgiel, oglądam je w katalogu z wystawy, i myślę sobie, jak czule fotografka musiała spoglądać na swoje modele, żeby je tak zgrabnie uchwycić, zatrzymać - STOP! - i zamknąć w KLATCE, zawładnąć ich OBECNOŚCIĄ. Niektórych nie ma już pośród żywych, jak Stanisława Lema, a jednak są! Jak żywi. Nie, nie JAK żywi. Na zdjęciach SĄ żywi. Oto Wisława Szymborska w roku 2006, +/- 70 lat po wspomnianym zdjęciu z siostrą i rodzicami, od 10 lat noblistka. W kadrze mamy tylko zbliżenie na twarz z półprofilu, i przyłożone do ust zagięte palce prawej dłoni, migdałowe, pociągnięte jasnym lakierem paznokcie, właściwie widać jeden paznokieć. Kruche palce starszej pani, ale wnikliwe, czujne spojrzenie ciemnych oczu uważnej więc do końca młodej poetki-obserwatorki, usta ściągnięte w namyśle, na kogo, na co patrzy? Ona jedna występuje na tej wystawie dwa razy. Drugi raz w towarzystwie Tomasza Stańki w roku 2009 na scenie krakowskiej Opery, ona przeczytała właśnie swój wiersz i kartka jej opadła na podołek (jakie fajne słowo, podołek), on gra na trąbce, ona przechyla się lekko w jego stronę, słucha. Przed nimi cała zasłuchana widownia. Siedzę, ba, w pierwszym rzędzie i też słucham. To było tamtego wtorkowego wieczoru 27 stycznia. Mam i ja zdjęcia z tego wydarzenia. W kolorze, dużo malinowej czerwieni w tle. Teraz widzę to na fotografii czarno-białej, tło czarne. Na pamiątkę tego wieczoru napisałam wierszyk-żarcik pt. "pani poetka ma nosa". A więc Danuta też tam była, nie znałyśmy się wtedy, ale spotkałyśmy się na tamtym poetycko-muzycznym wydarzeniu teraz.

A teraz skok z roku 2009 o dziesięć lat wstecz i spotkanie z innym noblistą, który chadzał sobie po Krakowie, Czesławem Miłoszem. W tle winorośl z roku 1999 na ścianie od strony podwórka kamienicy, w której zamieszkał z żoną Carol. Pod szóstką przy ulicy Bogusławskiego. Jak dla mnie na Jasnej. Tu, na ulicy Sarego 14, kamienicy wychodzącej na wprost Jasnej, wychowałam się, i nikt o ulicy Bogusławskiego nie mówił inaczej, niż Jasna. Za to Waryńskiego się przyjęło i na świętej Gertrudy muszę się przestawiać. Starowiślną nazywano Starowiślną i tak jest znowu. 88-letni Miłosz nie spodziewał się, że po kilkumiesięcznym pobycie w 1945 roku w Krakowie i opuszczeniu Polski w 1951 roku na stałe w atmosferze skandalu wróci jeszcze do Krakowa i będzie spacerował po krakowskich ulicach, Plantach, Rynku... (w Krakowie będzie jego grób). A jednak, zatoczył koło i od 3 lat mieszka ze swoją amerykańską żoną tuż pod Wawelem (żona zadbała o uporządkowanie podwórka). Stanowczo zaciska usta, groźnie marszczy krzaczaste brwi, jak to on, ale oczy ma łagodne, zamyślone, nie patrzy w obiektyw, patrzy w dal, a ponieważ niezbyt już dobrze widzi, pewnie w siebie. Co jeszcze przyniesie mu życie? Nie mówmy mu, że zejście do Hadesu po zmarłą przedwcześnie żonę. Ma na sobie dzinsową koszulę pod kolor oczu i sztruksową marynarkę, jego ulubiony zestaw z oddaniem komponowany przez Carol, to wiemy z książki "Miłosz w Krakowie" z roku 2015 pióra jego osobistej sekretarki, Agnieszki Kosińskiej. Agnieszka - też z kręgu znajomych Danuty - jest na wystawie.

W roku 1999 pozuje fotografce także Andrzej Stasiuk, więc Andrzej Stasiuk młodszy o 20 lat od dzisiejszego Andrzeja Stasiuka, przed czterdziestką, przed siwizną, przed bruzdami od nosa do ust, gładszy, zmysłowszy, młodzieńczy, chłopak prawie. Co on takiego robi? Siedzi pod drzewem, kolana podciągnięte, ręce oparte na kolanach, w tle bodaj wiosenne Planty, tak to wygląda. Dzinsy, koszula też dżins, marynarka? Też dżins, tylko ciemniejszy? Cały w niebieskościach? I kwietne tło? Mina? Hm, cokolwiek krotochwilna, kpiąca, półuśmiech, rozbawione oczy patrzą na nie wiadomo co. Co on tam zobaczył? Na co patrzy? A może tylko pani fotograf powiedziała mu: proszę spojrzeć w bok? I spojrzał, a tam krakowski skrzat chowa się wśród traw, ucieka przed żwawo kroczącymi ciżemkami żaka, gołąb aż się wstrząsnął?... No, to można zrobić taką minę...

Zdjęcie w zdjęcie Marcin Świetlicki, ale już znowu w naszym tysiącleciu. Jest rok 2002 (dla Miłosza tragiczny, przyszło mu pożegnać młodszą o 33 lata żonę), wiosny 1999 dawno już nie ma, jak nie ma całego XX wieku. I nie cały Marcin Świetlicki, tylko jego lewa połowa, prawa to kapusta. Włoska, pokarbowana, właściwie liść. Jeden liść rozczapierzony jak dłoń, na pół twarzy. Wygląda zza niego jedno oko poety patrzące obojętnie gdzieś za obiektyw, czubek nosa i trzydniowy zarost, krótko przycięte włosy, nad czołem w szpicek. Zdjęcie jest, jak wszystkie, czarno-białe, więc zapomnijmy o zieleni. Liść kapusty posłużył tu za gag i strukturę. Dwie zmarszczki na czole mężczyzny i doszczętnie pomarszczony liść kapusty. Skąd człowiek pozujący do portretu nagle wytrzasnął kapustę królowej Bony? Niespodziane są rekwizyty pod ręką poety. Zwłaszcza tego poety. Znanego z "Nieprzysiadalności". A, nie, jeszcze nie znanego, to dopiero za 15 lat. Na razie znany jest ze śpiewania, nonszalanckiego sposobu życia, oraz wielu wierszy, m.in. zebranych w "Pieśniach profana" i "Czynnego do odwołania" wydanych przez wydawnictwo Czarne. Tym samym spoglądamy znowu w stronę Stasiuka.

Przeskoczyliśmy rok 2001, a tu aktor Jan Frycz też tylko do połowy i też tylko lewej w jakiejś sekundzie tego roku właśnie. Prawą zakrywa dłonią. Oko świdruje obiektyw, nawet trochę natarczywie, otpiera natręctwo wycelowanego w niego obiektywu. Musi to być chłodna pora roku, bo to, co widać z ubrania, to kilka warstw z grubego sukna. Wszystko ciemne w ciemne oprócz skrawka kołnierzyka od koszuli. Włosy ciemne, krótkie, gęste z ledwie widocznym nalotem siwizny, grzywka przycięta w ząb. Na czole zmarszczki, jakaś tajemnicza okrągła blizna nad nasadą nosa, ładnie skrojone usta, tzn. to, co widać z ust, ale wszyscy wiemy, że całe są zmysłowe a jeszcze bardziej zmysłowy jest tego aktora głos. No, ale tego nie widać na zdjęciu. Widać czarny pionowy i ciemny pionowy pas tła oraz jaśniejsze szare w szare rozmazane coś.

Trzy lata później aktorka Anna Radwan uśmiecha się w chwili kliknięcia zdjęcia wdzięcznie, ustami, oczami, błyskiem światła na zgrabym nosie. Nosku, chciałoby się powiedzieć, tak dziewczęco wygląda, ale to przecież też pedagog (choć czy była już wtedy? 15 lat temu?). Włosy jasne, krótkie, lekkie, trochę niesfornie sterczą nad brwiami, nad uchem, w uchu okragły i przezroczysty jak kropelka wody kolczyk, drugiego ucha, zapewne z kolczykiem do pary, nie widać. Aktorka wygląda zza czegoś, co zasłania część twarzy. Takoż nie połowę, a jedynie bok: jasną karnację i jasne oczy rozjaśniają dodatkowo rozsypane w jasne plamki liście (bo to chyba są liście?) lejącej się rośliny (bo to chyba jest roślina?), na pierwszym planie, a także w tle. W kontraście czarny fragment bluzki dodaje portretowi ciężaru.

W roku kolejnym, to już 2005, w którejś sekundzie swojego życia pozuje do portretu inna aktorka Teatru Starego, Ewa Kaim. To jest zdjęcie typu "glamour", jak te ze złotego okresu Hollywoodu w moim albumie "A World of Movies". Ach, ten czar tamtych zdjęć: porcelanowa cera, staranny makijaż, uwodzicielskie spojrzenie, błyszczące usta ułożone w nieodgadniony uśmiech Mony Lisy, włosy półdługie, zaczesane na bok, pokolorowane w różne odcienie pasemka podniesione na końcach zapewne żelem, bo sterczą jakby były usztywnione, a każde niesfornie w swoim kierunku. No i dekolt. Głęboki aż po zarys piersi. Jedno ramię odsłonięte, widoczny obojczyk, drugie

zakryte, więc asymetria fryzury powtórzona, a podkreślona jeszcze jedną dłonią przytkniętą wierzchem do policzka, jakby odgarniała włosy, ale od niechcenia, niedbale, bo jeden kosmyk wyraźnie się oparł, drugi też się nie dał. Krótko obcięte bez lakieru paznokcie. Do tego biżuteria, jest i biżuteria, wiszący kolczyk w uchu to nic jeszcze, bo szyję zdobią korale, czy może bardziej kolia: nowoczesna, designerska, trzy sznury okrągłych płaskich drobnych krążków podobnych do ziarenek soczewicy, dużo ich, leżą, podobnie jak włosy, porządnie-nieporządne, ujęte w sznurki z drobniutkich kuleczek. Z czego są? Z drewna? Jakiego koloru? Każdego.

W jakiejś chwilce 2005 roku przed obiektywem Danuty znalazł się także Tadeusz Nyczek. Krytyk. I widać, że krytyk. Głowę oparł na złożonych dłoniach (na palcu serdecznym u prawej dłoni odcina się obrączka, dawno nie widziałam u mężczyzny tak definitywnie ewidentnej obrączki, no, jest powaga). Okulary na drucikach. Szkła solidne, szlif. Zarost już nie nieogolony-trzydniowy, artystyczny, a codziennie (?) starannie strzyżony zarost naukowca, który nie może mieć raz krótszej, raz dłuższej brody (podobnie starannie potraktowany jedyny widoczny paznokieć). Mina ni to miły uśmiech, ni kwaskowaty sarkazm. Niech no tylko pisarz czy poeta, czy inny artysta, coś stworzy, a już go krytyk dla porządku gdzieś upcha, do jakieś kategorii, jakiejś nazwy, jakiegoś pojęcia. A jak się będzie opierał, wystawał, tym gorzej dla niego. To nie artysta, a krytyk wie, gdzie artysta ma siedzieć. Zresztą może przesadzam? Może to jednak miły uśmiech i przyjaźnie, wyrozumiale zmrużone oczy? I broda czasami krótsza, czasami dłuższa? Przecież nie mogę tego wiedzieć po jednym zdjęciu. Tak wyglądał w jednej jedynej sekundzie swojego życia. Nawet jeśli podobnej do wielu innych, to przecież niepowtarzalnej.

W roku 2005 do zdjęcia pozował także Krzysztof Kozłowski, redaktor "Tygodnika Powszechnego", a właściwie to wieloletni zastępca redaktora naczelnego TP. Ponadto minister spraw wewnętrznych w pierwszym rządzie RP a także szef Urzędu Ochrony Państwa i senator. Pamiętam, kiedyś mówiło się na takich ludzi "szycha", ale może to nieładnie? Może nie powinnam tak pisać, a nawet myśleć? Nie wiem. Widzę twarz. Twarz gładko ogolona ale rzeźbiona wieloma zmarszczkami, bruzdami, ciemna (czyżby opalona?). Przystojna twarz, męski uśmiech, włosy szpakowate, obcięte na jeża, opadające kąciki oczu dodają twarzy wyrazu zatroskanego mędrca, pod oczami siatka zmarszczek. W roku 2005 miał lat 74 i długą listę dokonań, przez wiele historycznych etapów Polski przeszedł, rzeźbiło go wiele wirów. Więc powiedziałabym, że bardzo dobrze wygląda, równie dobrze mógłby mieć - na tym zdjęciu - 20 lat mniej. Poza tym pytanie jest, czy do tego swojego portretu pozował, czy może został "przyłapany" w drzwiach między korytarzem a pokojem (w redakcji?), trochę tak wygląda, jeśli dobrze interpretuję cień framugi drzwi. A jeśli przyłapany, to w jakim celu? W jakiej sytuacji? Fotografka zapewne pamięta. Ja widzę intrygujący udany portret.

I tak przechodzę od zdjęcia do zdjęcia, od wycinka świata i czasu jednej postaci do kolejnej: Zygmunt Konieczny, kompozytor, trzyma się za uszy (słuchawki na uszach?) w roku 2009 w Krakowie, Magdalena Tuli, pisarka w roku 2013 w Warszawie, nie w Krakowie, tuli, *nomen omen*, twarz do klawiatury fortepianu, Marek Bieńczyk, pisarz, także w roku 2013 w Warszawie, Olga Tokarczuk, pisarka w butach wędrowca, widać z wizytą w Krakowie, w roku 2007, Wojciech Pszoniak, aktor, wpadł do Krakowa w roku 2014, Adam Zagajewski, w 2016 roku w Krakowie, Jacek Dehnel, pisarz w muszce i szelkach (wiem, że ma i laseczkę), w roku 2014 w Warszawie, Julia Hartwig, poetka w roku 2007, także w Warszawie, Krzysztof Gąsiorowski, krytyk literacki i poeta z kwiatkiem w ustach w roku 2009 w Krynicy Morskiej, Jan Peszek, aktor stroi minę w roku 2009 w Krakowie, Jan Woleński, filozof z czarnym kotem w roku 2014 w Suchej Beskidzkiej, Romana Bobrowska, reżyserka radiowa z dwoma kotami syjamskimi w roku 2007 w (jak się domyślam) swoim mieszkaniu w Krakowie, Jerzy Kucia, a właściwie tylko jego oczy, nos i jeden palec reżyserski, w roku 2013 w Krakowie, Ewa Lipska, poetka z kluczem dużym jak do raju, w roku 2009 w Krakowie, Jerzy Pilch, wiadomo, pisarz, z petem w ustach, dymem z ust, ironicznym spojrzeniem znad okularów, w 2007 roku w Warszawie, Tadeusz Różewicz, poeta tu: z zamkniętymi oczami, w roku 2006 w Krakowie, Andrzej Wajda, reżyser, w roku 2008 w Goszycach, Daniek Szczechura, reżyser filmów

animowanych w roku 2005 w Krakowie oraz Leszek Sobocki, malarz z odkrytym torsem pozujący *à la* kulturysta, w tle sztalugi, na sztalugach obraz, więc malarska pracownia, zapewne własna, w roku 2005 w Krakowie.

"*Zbierać fotografie to zbierać świat*", konstatuje Susan Sontag i ma rację. Tak, nazbierałam się świata tego wieczoru. Tym bardziej, że, jak się okazało, wystawa portretów Danuty Węgiel to część większego fotograficznego projektu NCK zatytułowanego "SIŁA FOTOGRAFII", obejrzałam więc zdjęcia Władysława Rospondka, "FOTOGRAFA Z PLESZOWA", jak głosi katalog: świat sprzed Nowej Huty, kryta strzechą chałupa, chylący się płot z żerdzi, na nich garnki, słoneczniki wsparte o płot, i z dawnej Nowej Huty z dawnymi autobusami, to pewnie czerwonymi, i dawnym tramwajem, nr 14, pewnie niebieskim, kolory projekcji własnej, bo zdjęcia czarno-białe. Fotograf, rocznik 1930, obecny. I jeszcze: na kolorowo, przynajmniej po części, zaprezentowali się członkowie Krakowskiego Klubu Fotograficznego w ekspozycji zatytułowanej "KOBIETA", duży wachlarz na temat "kobieta", wdzięczny temat. I wreszcie "FANTAZJE KRAKOWSKIE": Kraków obfotografowany i z amerykańskim rozmachem przekształcony graficznie w wielkiego formatu kolorowe widowiska przez Ryszarda Horowitza...

Po wernisażu jeszcze prywatnie u Danuty z tyloma gośćmi, ilu nas się zmieściło w saloniku z aneksem. Zapomniałam zapytać, czy sąsiedzi nie reklamowali, ciągle się dziwię, że nie reklamowali od razu, na gorąco, bo było gorąco. A po północy w domu z ciężką torbą z książkami. Wśród nich "Stanisław Lem Ewa Lipska Stanisław Lem. Boli tylko, gdy się śmieję... Listy i rozmowy". Zaglądam, rysunki, sporo zdjęć, czarno-białych, Stanisław Lem z żoną, Ewa Lipska ze Stanisławem Lemem, na koniec Ewa Lipska w dużym portrecie *en face* patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się, to znaczy patrzy oczywiście fotografowi prosto w obiektyw i uśmiecha się do niego, ustami, oczami, nachyleniem wprzód głowy, zagiętymi palcami lewej dłoni przytkniętymi do brody, całą sobą. Dużo jest czułości w tym uśmiechu. I cóż widzę? W zatkniętych we włosach okularach odbija się ten fotograf, fotograf to fotografka, Danuta Węgiel, dowiaduję się ze spisu źródeł ilustracji, jest autorką tego i jeszcze kilku innych zdjęć w książce. I to rozumiem zakończenie wieczoru. Kocham takie koincydencje. Przecież mogłam nie jechać do Nowej Huty *via* księgarnia na Podwalu, nie kupić książek, tej książki.

*

* *

Danuta Węgiel urodziła się w 1961 roku w Elblągu, jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Od 2012 roku związała jest z agencją prasową Fotonova. Wykłada w Instytucie Dziennikarstwa UPJPII w Krakowie. Fotografuje Canonem EOS.